Tropem kulturowych kodów

Marek Czuku: – Znana jesteś jako świetna tłumaczka, najważniejsza obecnie – obok Małgorzaty Łukasiewicz translatorka literatury niemieckojęzycznej. Czy piszesz również coś swojego?

Sława Lisiecka: – Jako dziewczyna pisałam wiersze, ale prawie nikomu ich nie pokazywałam. Po latach jednak postanowiłam je przedstawić mojemu mężowi [poecie Zdzisławowi Jaskule – dop. MC]. Zdziniek wtedy na długo zamilkł, a następnie powiedział: „Słowniczku, ty tak pięknie tłumaczysz". Zablokował mnie tym na resztę życia i nic już potem nie napisałam. Jak się długo tłumaczy, a robię to już ponad czterdzieści lat, to się traci własny styl. Chodzą teraz za mną proza oraz autobiograficzna sztuka teatralna – które chciałabym napisać, ale nie mam odwagi się do tego zabrać. Z drugiej strony mam tak dużo pracy związanej z tłumaczeniami, nauczaniem i wydawnictwem, że brakuje mi czasu, żeby tak po prostu siąść i zacząć pisać.

Próbowałaś tłumaczyć w drugą stronę – z polskiego na niemiecki?

– Nie chcę zabierać pracy kolegom Niemcom, którzy robią to lepiej ode mnie. Czasem są jednak wyjątkowe sytuacje, gdy trzeba szybko coś przetłumaczyć z polskiego na niemiecki. Są to zazwyczaj krótkie teksty i wtedy proszę moich niemieckich kolegów o konsultacje.

Jak się zaczęła twoja przygoda z literaturą, z tłumaczeniami?

– Uczyłam się niemieckiego od piątej klasy szkoły podstawowej. Ojciec kupił mi kiedyś enerdowską książeczkę pt. „Eine Freundin wie Gerda", a ja siadłam i zaczęłam ją tłumaczyć. To był chyba taki pierwszy, wyzwalający moment, gdy poczułam, że sprawia mi to ogromną przyjemność. Uczyłam się też innych języków: esperanto, angielskiego, francuskiego, włoskiego i poznawałam je z pasją, ale w końcu skupiłam się na niemieckim, który całkiem mną zawładnął. Na początku sporo tłumaczyłam „do szuflady", aż wreszcie zdecydowałam się posłać próbkę swoich prac do wydawnictwa „Czytelnik". Po dwóch latach oczekiwania pojechałam do Warszawy. No i dopięłam swego, bo dzięki świetnemu tłumaczowi Sławomirowi Błautowi, który przypadkiem przeczytał wydrukowany przeze mnie w „Literaturze" fragment przekładu „Godziny prawdziwych doznań" Petera Handkego, dostałam pierwsze zlecenie. Było to kilka utrzymanych w różnych poetykach tekstów do antologii opowiadań austriackich. Mój prawdziwy debiut prozatorski to przekład biograficznej powieści Petera Härtlinga „Hölderlin". Gdy ją przekładałam, pan Błaut codziennie siedział ze mną od rana do wieczora, uczył mnie i wskazywał błędy. Nasza relacja była typu mistrz – uczeń. Teraz sama od kilku lat prowadzę warsztaty w Austriackim Forum Kultury, tzw. sztukę przekładu, i tę pałeczkę podaję dalej.

Jesteś wszechstronna i pracowita. Przetłumaczyłaś ponad sto książek! Masz w dorobku zarówno poezję, prozę, dramaty, jak i dzieła filozoficzne oraz literaturę popularnonaukową. Przekładasz najważniejszych autorów niemieckojęzycznych. Jaka jest twoja filozofia przekładu i wynikająca z tego strategia?

– Na samym początku drogi myślałam, że – jak mówił Karl Dedecius – trzeba tłumaczyć tylko rzeczy wielkie. Rzeczywistość to jednak zrewidowała. Musiałam przekładać nie zawsze takie książki, które mnie do końca zachwycały, trzeba było bowiem z czegoś żyć. Ale oczywiście przekładałam też wybitne rzeczy. Natomiast książki popularnonaukowe tłumaczyłam, żeby się nie nudzić i się samokształcić. Jeśli chodzi o strategię przekładów, to każda książka wymaga innego podejścia w

zależności od poziomu trudności. Trzeba zawsze zorientować się, w jakiej stylistyce jest napisana dana książka, znaleźć wszystkie tropy kulturowe, odniesienia, przywołania literackie, gry językowe, poczuć klimat, melodię tekstu i dopiero wtedy przetłumaczyć wszystko tak, żeby polski czytelnik otrzymał książkę jak najbliższą oryginałowi. Zazwyczaj robię pięć wersji przekładu, udoskonalając go. Tę ostatnią staram się czytać na głos – dawniej zwykle pokazywałam ją Zdzinkowi, teraz bardzo mi Go brakuje jako pierwszego czytelnika. I ten wariant odsyłam już do wydawnictwa.

Wolisz tłumaczyć poezję, czy prozę, a może jakąś inną formę?

– Bardzo lubię tłumaczyć prozę, bo w prozie można się fajnie rozwinąć, jest w niej przestrzeń, oddech.

Jacy są twoi ulubieni autorzy?

– Peter Härtling, bo tworzy piękny klimat i jest niezwykle uczciwy wobec swoich bohaterów. Chętnie też przekładam Juli Zeh, mam w dorobku pięć jej książek. To jeszcze młoda autorka, która z kolei bardzo się bawi językiem, a ja to niezwykle lubię. Oczywiście z przyjemnością tłumaczę Thomasa Bernharda, wydaje mi się, że znalazłam do niego swój klucz.

Lubisz więc prozę awangardową, eksperymentującą z formą…

– Tak. Chcę, żeby przekład stawiał mi pewne wyzwania. Gdy się na przykład tłumaczy „Mózgi" Gottfrieda Benna, ma się do czynienia z jakimś nieprawdopodobnym kosmosem, który trzeba ogarnąć i przeniknąć. Właściwie należy poznać niemal wszystko, co autor przeczytał, żeby móc tę książkę przetłumaczyć. W przypadku nowel Bernharda musiałam trochę poczytać o filozofii Wittgensteina („Chodzenie"). Z kolei w „Amras" jest bardzo wiele urywanych zdań, które się dziwnie zaczynają i dziwnie kończą. Musiałam zrozumieć, czemu to służy.

Dodam do tego melodię tekstu. Czy w ogóle da się ten rytm przenieść do innego języka?

– Myślę, że żaden tłumacz Bernharda na żaden język nie przełożył go tak, jak by autor to sobie wyobrażał. Powód jest prosty – Bernhard był niezwykle muzykalnym człowiekiem i pisząc, przytupywał sobie do rytmu. Język niemiecki ma intonację wznoszącą, natomiast polski opadającą, więc to już z góry nie pozwala oddać melodii tekstu niemieckiego. Zdecydowałam się udziwniać frazę Bernharda tylko tam, gdzie ona również dla niemieckiego czytelnika jest dziwna. Dzięki temu osiągam tę dziwność także w polszczyźnie.

Jesteś uważana za bardzo rzetelną tłumaczkę. Podziw dla pisarza pomaga ci czy przeszkadza w tłumaczeniu?

– Pomaga. Bo dobrze napisane książki tłumaczy się znacznie łatwiej i przyjemniej.

Czy są takie książki, których byś nie chciała przełożyć?

– Oczywiście. Tak było za czasów PRL, gdy dostawałam do tłumaczenia książki, z którymi się nie zgadzałam światopoglądowo. I wtedy odmawiałam. Ktoś mi zarzucił, że jednak przetłumaczyłam Heideggera. Zrobiłam to, by zrozumieć, w jaki sposób Heidegger interpretuje Hölderlina w książce „Objaśnienia do poezji Hölderlina". Chciałam pokazać polskiemu czytelnikowi, że ta analiza nie odbiega od faszystowskich poglądów filozofa.

Jak tłumacz doskonali swoje umiejętności?

– Przez samo tłumaczenie. Bardzo rozwija tłumacza czytanie słowników. Sprawia to ogromną przyjemność, a przy okazji daje wiedzę o języku i kulturze. Ja słowniki Doroszewskiego, Kopalińskiego czy Skorupki czytam ciągle z niezmierną namiętnością. Pomaga też czytanie dobrej literatury po polsku. Z drugiej strony muszę stale doskonalić znajomość języka niemieckiego i bardzo dużo czytam w tym języku. Często też jeżdżę do Niemiec, żeby być na bieżąco z mową oraz ze zjawiskami kulturowymi. Poza tym trzeba w ogóle mieć oczy i uszy otwarte na literaturę światową i na świat w ogóle.

Jak rozumiesz interkulturową rolę przekładu?

– Kiedyś – jeszcze za PRL – ta interkulturowość była niezwykle trudna do oddania, ponieważ w języku polskim nie było odpowiedniej terminologii nazywającej zjawiska, które znała Europa. Tłumacz musiał powoływać nową terminologię na rzeczy u nas nieznane. Dzisiaj ten problem jest znacznie mniejszy. Wyzwaniem dla tłumacza jest choćby interkulturowość prozy Elfriede Jelinek. Ona pracuje w języku, rozrywa frazeologię, łączy różne idiomy, posługując się cytatami z prasy i różnych dzieł, a w końcu te cytaty przeinacza. Oddanie tego wszystkiego w innym języku jest niemożliwe, ponieważ cały kontekst pozostaje obcemu czytelnikowi nieznany.

Dlaczego Bernhard?

– Sławomir Błaut dał mi do tłumaczenia jako kolejną pozycję po „Hölderlinie” trzy książeczki Bernharda: „Suterenę”, „Oddech” i „Chłód”. Lektura tych utworów tak mną wstrząsnęła, że uznałam, iż to, co Bernhard mówi, jest bardzo ważne. Utożsamiałam się z jego widzeniem państwa oraz państwowych instytucji, a także przejęłam się jego losem. Po latach wróciłam do Bernharda i przetłumaczyłam dla Wydawnictwa Literackiego pozostałe dwie pozycje z pięcioksięgu, a potem kilka innych książek tego autora.

Od paru lat prowadzisz własne Wydawnictwo OD DO…

– Kiedy dostałam dużą, ważną niemiecką nagrodę, postanowiłam ją przeznaczyć na popularyzację literatury niemieckojęzycznej. Mój zamysł był taki, żeby poprosić znajomych tłumaczy o przekazanie mi przekładów książek, których nie chciały od nich przyjąć inne wydawnictwa. Sama też wydaję tu swoje tłumaczenia pozycji, których nakład jest niski. To jest absolutna nisza. Nie spodziewałam się, że czytelnictwo w Polsce tak bardzo osłabnie. Poza tym źle jest u nas rozwiązany system dystrybucji książek. W związku z tym, niestety, za jakiś czas będę zmuszona zamknąć wydawnictwo.

Wydałaś niedawno książkę amerykańskiego pisarza żydowskiego pochodzenia Tuvii Tenenboma „Spałem w pokoju Hitlera”, która mówi o podróży autora po Niemczech. Nie zostawił on na Niemcach suchej nitki, wytykając im poglądy nazistowskie i antysemickie. Podobnie oceniał swoich austriackich rodaków Bernhard.

– Tuvia chciał przede wszystkim pokazać, jaką ogromną szkodę robi tzw. poprawność polityczna. Bo już sami Niemcy się przyznają, ostatnio ustami pani kanclerz, że rośnie u nich w sposób zastraszający fala antysemityzmu. O tym jest ta książka.

Książka Tenenboma jest napisana lekko, z poczuciem humoru, ale porusza ważne i bulwersujące problemy. Autor promował ją niedawno w łódzkim Domu Literatury…

– Tenenbom jest autorem bestsellerów, wydał potem książki „Sam wśród Amerykanów”, „Sam wśród Żydów” i „Sam wśród uchodźców”. Napisał też dla „Die Zeit” bardzo smutny, przygnębiający artykuł o naszym kraju. Do żywego raniły go jako człowieka, który w Polsce stracił członków swojej

rodziny, antysemickie napisy na murach polskich miast. Jakoś nasze miasto nie przykłada się do usuwania tych okropieństw.

I na koniec coś bardziej osobistego. Jak to jest żyć w artystycznej rodzinie i w dodatku w legendarnym salonie przy Wschodniej?

– Bywało trudno i łatwo, pięknie i źle. Ale na pewno nie nudno. Nasz dom stanowiący oazę opozycji politycznej odegrał w latach 70. i 80. w Łodzi znaczącą rolę kulturotwórczą. Jestem szczęśliwa, że los połączył mnie ze Zdzisławem, niespokojnym, twórczym duchem i człowiekiem o niezachwianym kręgosłupie moralnym. Przeżyliśmy razem 40 lat, które pozwoliły nam uświadomić sobie, co w życiu ma prawdziwie głęboki sens.